Nr. 21. Sobota, dnia 20-go maja 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę czwartą po Wielkanocy.

LEKCYA

z listu św. Jakóba rozdział I, wiersz 17—21.

Najmilsi! Wszelki datek dobry i wszelki dar doskonały z wysoka jest, zstępujący od Ojca światłości, u którego nie masz odmiany, ani zaćmienia przemiany. Dobrowolnie bowiem porodził nas słowem prawdy, żebyśmy byli niejakim początkiem stworzenia Jego. Wiecie, bracia moi najmilsi! A niech wszelki człowiek będzie prędki ku słuchaniu, a leniwy ku mówieniu i leniwy ku gniewowi, bo gniew męża nie sprawuje sprawiedliwości. Przeto odrzuciwszy wszelkie plugastwo i obfitość złości, przyjmijcie w cichości słowo wszczepione, które może zbawić dusze wasze.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział XVI, wiersz 5—14.

Onego czasu mówił Jezus do Swych uczniów: Idę teraz do tego, który Mnie posłał, a żaden z was nie pyta Mnie: dokąd idziesz? Ale iżem to wam powiedział, smutek napełnił serca wasze. Aleć Ja prawdę wam powiadam: pożyteczno wam, abym Ja odszedł, bo, jeśli nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie do was, a jeśli odejdę, poślę go do was. A on gdy przyjdzie, będzie karał świat z grzechu i z sprawiedliwości i z sądu: z grzechu, mówię, iż nie wierzą w Imię; a z sprawiedliwości, iż do Ojca idę; a z sądu, iż książę tego świata już jest osądzony. Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy; bo nie sam od siebie mówić będzie, ale, cokolwiek usłyszy, mówić będzie, i, co przyjść ma, oznajmi wam.

NAUKA.

Chrystus Pan, przepowiedziawszy apostołom śmierć swoją, a także wszystkie troski, jakie ich samych w przyszłości czekały, zwrócił się do nich z następującemi słowami: „A teraz idę do tego, który mię posłał: a żaden z was nie pyta mię, dokąd idziesz? Ale iżem to wam powiedział, smutek napełnił serca wasze. Aleć ja prawdę wam powiadam: pożyteczno wam, abym ja odszedł. Bo jeśli nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie do was: a jeśli odejdę, poślę go do was” (Jan XVI, 5, 6, 7).

Tym zapowiedzianym pocieszycielem miał być Duch święty. Istotnie, zaledwie zstąpił On na apostołów, oni, dotychczas tacy bardzo słabi, zupełnie są przeistoczeni: nieprzyjaciele Zbawiciela prześladują ich, a oni radują się, że mogą cierpieć za Jezusa; zabraniają im głosić Jego świętą naukę, a oni odpowiadają, że nie ludziom, ale Bogu trzeba być posłusznym; uważają siebie za wygnańców, za podróżnych na tym ziemskim padole i tęsknią jedynie za Niebem...

Kto sprawił w nich tę cudowną zmianę?

Nie kto inny, jak tylko Duch święty: On ich myśli i serca oderwał od tego zepsutego świata i — dał im już za życia przedsmak szczęścia, które w przyszłości miało być ich udziałem.

Ten wpływ zbawienny, jaki Duch święty wywarł na apostołów, rozciągnął On również na wszystkich sprawiedliwych — wszystkich miejsc i czasów. On to męczennikom dodawał odwagi wśród najsroższych cierpień; On anachoretów prowadził na pustynię i w pokucie pozwalał im znajdywać rozkosze; On natchnął męstwem naszych misyonarzy, którzy wśród tysiąca niebezpieczeństw na krańcach świata głoszą słowo Boże.

To samo i dla nas Duch święty uczyni, jeżeli sobie naszem postępowaniem na to zasłużymy; stanie się On natenczas naszym „pocieszycielem” i — wyjaśni nam znaczenie tych słów Ewangelii: „dokąd idziesz?” (Jan XVI, 5). Powie On do biednych i upośledzonych: W pocie czoła chleb wasz spożywacie, nie rozpaczajcie wszakże, lecz wzrok wasz wznieście z ufnością ku górze, a zobaczycie tam Boga, który, ludzką postać na siebie przyjąwszy, znosił niedostatek wszelkiego rodzaju, ażeby wam tym sposobem zapewnić zbawienie. Ten widok ukoi waszą boleść i do cierpliwości z pewnością zachęci.

Do chorych przemówi: życie wasze jest powolnem konaniem, nie narzekajcie wszakże, bo te cierpienia posłużą wam do zdobycia Nieba. Przywiedźcie sobie na pamięć Tobiasza — pozbawionego wzroku, Hioba — na barłogu, a to wam doda otuchy i zarazem przekona, że obecna wasza niedola przyjęta z poddaniem, dopomoże wam do osiągnięcia wiekuistej chwały.

Wreszcie powie On do osieroconych: straciłeś matkę, ojca, żonę, męża, siostrę, brata, dziecko... nie skarż się wszakże, albowiem ukochana przez ciebie istota przeniosła się do wieczności, ażeby się wstawić za tobą do Boga.

Zatem Duch święty jest źródłem pociechy dla sprawiedliwych, jest On nadto dla nich źródłem wszelkiej prawdy. Chrystus wyraźnie nas o tem zapewnia, gdy mówi: „Gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy: bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy mówić będzie: i co przyjść ma, oznajmi wam” (Jan XVI, 13).

Ażeby sobie z tych słów zdać dokładną sprawę, zobaczmy, czego apostołów nauczył Duch święty. Za jego przyczyną poznali oni Boga, a także samych siebie; poznali, jakie są obowiązki względem Stwórcy i bliźniego, jaki jest cel człowieka, jakie są zasady religii Chrystusa.

Zapewne winni byli z tem wszystkiem gruntownie być zaznajomieni, by módz innym swej wiedzy udzielać.

To też z chwilą, gdy Duch święty oświecił apostołów, ci ludzie, poprzednio nie rozumiejący nauki Boskiego ich Mistrza, natychmiast w pełni ją pojęli i wobec całego świata poczęli ją głosić.

Że tak było w istocie, wszyscy o tem wiemy.

Dlaczegóż więc zapominamy o tem i nie uciekamy się w naszych potrzebach do Ducha świętego z prośbą o pomoc i radę?

Czytamy jeszcze w dzisiejszej Ewangelii: „A on, gdy przyjdzie, będzie karał świat z grzechu... Z grzechu mówię: iż nie wierzą w Imię" (Jan XVI, 8, 9). Te słowa oznaczają, że Duch święty obwieści światu, iż powodem każdego moralnego upadku — jest niewiara w Jezusa Chrystusa. Uczynił On to najpierw przez usta apostołów, gromiących żydów, że nie uwierzyli w Syna Bożego, który dowiódł swego Boskiego posłannictwa swojem życiem całem i chwalebnem swojem zmartwychwstaniem.

Niestety, nie sami tylko żydzi nie uwierzyli w Jezusa — i chrześcianie prawie codziennie stają się winni tejże samej zbrodni. Przyznaję, nie zawsze całkowicie, ale jakżeż często, przynajmniej częściowo.

Kościół, przyjmując nas przez Chrzest w poczet swoich członków, wymaga, ażebyśmy przez odmówienie Składu Apostolskiego uczynili wyznanie naszej świętej wiary.

Tymczasem, przypatrzmy się bliżej, czy do naszego postępowania stosujemy to wyznanie wiary?

Mówimy, że wierzymy w Boga Ojca, Stworzyciela Nieba i ziemi, a jednakże nie kochamy Go, nie oddajemy Mu czci przynależnej, nie modlimy się do Niego, uporczywie stronimy od Jego przybytków...

Mówimy, że wierzymy w Jezusa Chrystusa, lecz czy staramy się być do Niego podobni. On narodził się z przeczystej Dziewicy, a my żyjemy w rozpuście; On umarł za nas na krzyżu, a my pragniemy wśród rozkoszy nasze życie pędzić; On zmartwychwstał z grobu, a my pogrążamy się w grobie naszych grzechów; On wstąpił do Nieba, a my za ziemią jedynie wzdychamy...

Mówimy, że wierzymy w Ducha świętego, a zamiast Jego głosu słuchać, wypędzamy Go z serc naszych — naszymi grzechami.

Przyznajemy, że temu wyznaniu wiary najczęściej nasze postępowanie wielce się sprzeciwia.

Za przykładem apostołów otrząśnijmy się z naszego uśpienia. Zaledwie Duch święty zstąpił na nich, stali się oni wiernymi wyznawcami Krzyża, zatknęli go aż na krańcach świata — i wiedy to godło hańby — w godło chwały się przeistoczyło. Na jego widok grzesznicy się nawracają, upośledzeni odzyskują nadzieję, a wszyscy zbawienie i życie.

Jesteśmy zatem dziećmi Krzyża. Poczytujmy to sobie za łaskę i szczyćmy się tem. Świat będzie nas prześladował, jak ongi naszego Boskiego Mistrza, niechaj nas wszakże nie zrażają i nie zniechęcają wszelkie przeciwności, bo wzamian za naszą wytrwałość i wiarę otrzymamy odpowiednią zapłatę.

Ks. Roman Lasocki.

BOLESŁAW SĘDZIĄ.

W komnacie wspaniałej, bogato kobiercami i oponami jedwabnemi przystrojonej, w krześle, na którem widniał piastowski orzeł, siedział Bolesław Chrobry. Kożuch sobolowy, pokryty jedwabiem, buty futrzane biała, cienka bielizna stanowiły całe jego ubranie. Chmurnie zmarszczone czoło, brew ściągnięta, posępne spojrzenia świadczyły, iż niewesołe były jego myśli. Tłum panów świeckich i duchownych napełniał izbę; jedni tworzyli grupy i szeptali z sobą, inni siedzieli tu i ówdzie na krzesłach, posępni, jak w tej chwili król.

Posępne w istocie były myśli króla. Od pewnego czasu panowie polscy, naśladując niemieckich, poczęli napadać po lasach i drogach. Działy się rzeczy, srom przynoszące uczciwemu narodowi; kupiec spokojnie nie mógł wieźć towaru do miasta, bo rabusie wypadali na niego z zarośli i zabierali mu mienie.

Dochodziły ustawicznie skargi do króla o te rabunki, aż chcąc im koniec położyć, ogłosił wyrok, że ktokolwiek na podobnym uczynku pochwycony będzie, ten głową bezprawie przypłaci; kazał też kasztelanom pilnie strzedz lasów i dróg, rozstawić straże, by nie działy się nadużycia. I uciszyło się jakoś po tem rozporządzeniu. Zlękli się ludzie kary i cieszył się Bolesław, iż zło wyplenił; kupcy spokojnie towary wieźli do miasta, a podróżni do wsi sąsiednich śpieszyli. Aż oto doniesiono Bolesławowi, że trzej synowie możnego rycerza dopuścili się znowu rabunku, przejeżdżającego kupca napadli, złupili, i zostawiwszy w lesie związanego na łasce dzikiego zwierza, uciekli z towarami. Szczęściem strażnik, który czuwał nad lasem, usłyszał jęk, poszedł za głosem, znalazł kupca i z pęt go uwolnił. Kupiec znał tych, co go napadli; zaniósł przeto skargę do grodu, a kasztelan przesłał ją królowi. Rozgniewany Bolesław kazał natychmiast pochwycić oskarżonych i stawić do Gniezna przed swoje oblicze. Siedzi teraz oto posępny, milczący, czeka na winowajców i za chwilę wyrok na nich wyda.

Kroki idących dały się słyszeć; Bolesław zmarszczył się jeszcze bardziej, groźniej jeszcze spojrzał; rozchyliła się firanka i w progu królewskiej komnaty stanęło trzech młodych chłopców, z których najstarszy mógł liczyć najwyżej lat ośmnaście. Za nimi widać było straż. Król skinął na młodzieńców, by się zbliżyli. Straż zatrzymała się w progu. Oni, doszedłszy do środka izby, padli na kolana, pokłon królowi czyniąc. W tej samej chwili z prawej strony, gdzie było widać drzwi wiodące do dalszych komnat, przykryte ciężką firanką, szmer jakiś dał się słyszeć. Firanka się odchyliła, na jedną przelotną chwilę ukazała się w jej fałdach głowa niewieścia i znikła; w komnacie królewskiej nikt jej nie widział.

Król gniewnem spojrzeniem zmierzył klęczących, poczem rzekł:

— Wstańcie!

A gdy usłuchali rozkazu, zapytał:

— Czy znaliście rozporządzenie moje względem tych, którzy rabunków dopuszczać się będą? Nie słyszeliście, iż śmiercią zagroziłem pochwyconym na takim uczynku?

— Słyszeliśmy — odparli winowajcy.

— I mimo to dopuściliście się zbrodni?

— Sądziliśmy, iż sprawa się nie wykryje — rzekł jeden.

Król ściągnął brew mocniej.

— Wyprowadźcie ich — zwrócił się do straży. — Jutro niechaj te trzy głowy pójdą pod miecz.

Straż otoczyła i wyprowadziła młodzieńców. Komnatę królewską zaległa posępna cisza; z prawej tylko strony poza firanką, kryjącą drzwi boczne, dał się słyszeć znowu jakiś szelest, ale niedługo to trwało — wnet i ten szmer ucichł.

Minęło kilka miesięcy od tego wypadku. Bolesław znowu siedział w owej komnacie, lecz dziś jasny, wesół, rozmowny, huśtał na kolanach ukochanego syna, Mieszka. Obok niego siedziała żona, Kunilda, dalej kilku panów i niewiast kilka. Śmiechy, żarty obijały się o ściany komnaty. Naraz jakieś kroki dały się słyszeć. Król sposępniał, ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi. Do komnaty weszło jeszcze kilka osób.

— Co wam jest, panie? — spytała troskliwie żona, spostrzegłszy zmianę w twarzy męża.

— Nic, nic — odparł król. — Ilekroć kroki czyjeś rozlegną się poza tamtemi drzwiami, przypominają mi się owi trzej, których na śmierć skazałem. Za srogi byłem dla nich... Toż to dzieci. Mogli się poprawić. Blade ich twarze często mnie budzą w nocy i zdają się mówić: „Oddaj nam życie; nie zasłużyliśmy się jeszcze ojczyźnie, a ty nam umierać kazałeś."

Rumieniec oblał twarz Kunildy.

— A gdyby, panie... gdyby pacholęta owe żyły? — szepnęła nieśmiałym głosem. — Cóżbyś rzekł na to?

— Cudu niegodny jestem — westchnął Bolesław.

— Nie godzien nikt z nas, lecz miłosierdzie Boże jest bez granic. Odpowiedz przeto panie, cóżbyś uczynił, gdyby cud taki stał się? — nalegała Kunilda.

— Złożyłbym Panu pokorne dzięki, a pacholęta do łaski przywróciłbym — odparł król.

— Mieszku — rzekła Kunilda, do syna się zwracając — padnij ze mną razem do nóg ojcu, i błagaj o przebaczenie dla matki.

Chłopczyna, wystraszony jej słowami, sam nie wiedząc dlaczego, padł ojcu do nóg i podniósł ku niemu wzrok trwożliwy.

— Panie — przemówiła drżącym głosem Kunilda, klęknąwszy obok syna — oto cud stał się: wstali z grobu ci, których śmierć ciąży na twem sumieniu; żyją i w więzieniu czekają twego zmiłowania.

Tu opowiedziała, jak się to stało. Kiedy król wydał wyrok śmierci na winowajców, ona, ukryta za oponą w progu drzwi, wysłuchała wyroku i żal ją zdjął wielki. Kazała przeto odebrać skazanych z rąk oprawców i odwieźć do klasztoru świętokrzyskiego pod opiekę Benedyktynów, a tam trzymać za kratą, pod kluczem, dopóki nowe rozporządzenie królewskie nie przyjdzie.

Bolesław nie tylko się nie rozgniewał, lecz wdzięczny był żonie za to, co uczyniła. Posłał natychmiast po skazanych. Gdy stawili się przed jego obliczem, naprzód upomniał ich surowo, a potem odesłał stroskanym rodzicom.

Teresa Jadwiga.

BÓG MORZA.

(BAŚŃ SZWEDZKA)

Przed wielu, wielu tysiącami wieków bóg morza siedział na swym tronie w głębiach morskich niezmierzonych, a poddani ze wszystkich mórz przybyli mu złożyć hołd... Więc przybył wieloryb upewnić go o swej wielkości, delfiny zwinęły się wokół nóg boga, masa ryb latających rozwiała swemi skrzydłami — płetwami troski z jego czoła, a wszystkie te stworzenia wodne czuły się szczęśliwe przy swym władcy. u stóp jego tronu, który był z najczystszego kryształu, osrebrzony milionami kropel wody najczystszej, w której wszystko odbijało się jak w zwierciadle czarodziejskiem w swej prawdziwej postaci: zło widziało się tu wstrętnem, mimo swego pozornego piękna, dobro błyszczało światłem przeczystem, choćby powierzchownie wydawało się brzydkiem...

Bóg morza okryty był suknią powłóczystą z łuski, mieniącej się wszystkiemi kolorami tęcz... A szata ona była tak artystycznie i kunsztownie tkaną, że wszyscy mieszkańcy mórz potrzebowali na wykończenie jej zupełne całych dwóch tysięcy lat... Na ramionach swoich dźwigał on płaszcz z morskich lilii tkany, a tak wielki, a tak obszerny, że poły tego płaszcza na długie mile falowały po morskiej powierzchni. W ręku dzierżył bóg swoje berło, a na głowie miał koronę z korali najczerwieńszych, a był tak wysoki i majestateczny, że chociaż tron, na którym siedział, wspierał się o dno morskie, korona wystawała wysoko nad poziomem wody, otoczona porostami morskiemi, jak ludzie je nazwali, ale to były długie włosy boga mórz, włosy gęste i długie, które z falami podnosiły się i opadały z falami.

Bóg morza siedział poważny w swym majestacie i sądził postępki swych poddanych, a siedział on kilka wieków, bo sprawiedliwość nie tak prędko się wymierza tam, głęboko, jak tu... między ludźmi na ziemi... Aż ukończywszy swą długą pracę, postanowił odpocząć. Odrzucił berło, ujął w obie ręce koronę, zdjął ją z głowy, i na kolanach złożył. Lecz jakże się zdziwił, widząc swą koronę zmienioną w dziwny jakiś sposób. Różowe korale były pokryte czarną ziemią, a na niej rosły lasy olbrzymie i ciemne. Między lasami były urocze doliny i łąki zielone, lasy były pełne zwierząt, a w dolinach tych uroczych mieszkali — ludzie. Wszystko kwitło tak ładnie, tak przecudownie, takie szczęśliwe, wszystko uśmiechało się do boga mórz, który nie posiadał się z zachwytu. On czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widział. Nie mógł dość nasycić wzroku tym widokiem... Swych oczu on nie mógł odeń oderwać...

Lecz kiedy bóg morza siedział tak przez kilka chwil w zamyśleniu, a rzeczywiście był to już trzeci rok, spostrzegł z przerażeniem, że ten piękny obraz zniknął, a pozostały tylko na ziemi ciemne skały i białe szkielety, oplecione morską trawą, osnute porostami morskiemi...

Zasmucił się, zabiadał żałośnie:

— To był obraz najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem... O czemuż nie mogłem go zachować.

I natychmiast zwołał on wszystkich dworzan, wszystkich swoich poddanych z całego swego państwa wód i rozkazał im zbudować słup, taki wielki słup, który dosięgnąłby poziomu wody, i swój własny tron poświęcił na fundament do tego słupa wielkiego.

Słup ten wkrótce był gotów i na szczycie jego bóg morza umieścił swoją koronę własną, ozdobioną jeszcze złotym piaskiem, ozdobioną jeszcze brylantami...

Bogu morza tylko raz na tysiąc lat dozwolonem jest wychylić głowę nad poziom wody i zobaczyć słońce, gdy zachodzi w dali, lecz bóg morza dotąd nigdy nie korzystał z tego prawa, bo sądził, że nie było nic piękniejszego nad jego własne państwo w głębinach mórz, w przepaścistych, niezmierzonych toniach wód.... Dopiero teraz on za-

tęsknił do tej chwili jedynej, gdy mógłby widzieć swą własną pracę, swe dzieło, ale, że dzień oznaczony minął, bóg morza musiał więc czekać lat tysiąc cały.

Dla boga mórz dziesięć wieków, te długich lat tysiąc, nie jest to czas tak długi, wkrótce też chwila owa nadeszła. W ów dzień bóg morza ujął w dłonie arfę swą czarowną, by mógł godnie opiewać dzieło swoje własne, dzieło swoje tak piękne. Wychylił się szczęśliwy nad poziom wody i ujrzał, że korona jego stała się jeszcze piękniejszą, niż poprzednio, jeszcze liczniej zajęta przez ludzi, jeszcze wspanialej usianą lasami i kwieciem. Wielkie okręty kołysały się na falach przy brzegu morskim i piękne miasta były zbudowane w różnych miejscach ziemi, ale z miast tych i ze wsi tych krzyk i gwar dobiegał uszu jego tak wielki, że bóg morza aż się tem przeraził mocno. Zbliżył się do tych miast i do tych wsi i z przerażeniem jeszcze większem ujrzał, że ludzie zabijali jedni drugich i bili się między sobą o złoto, jakiem on obsypywał koronę swoją tylko dla ozdoby tej korony. Brat wiódł spory z bratem, ojciec z synem, syn z ojcem. Zewsząd było słychać szyderstwa i przekleństwa, które mieszały się z jękiem umierających.... Zewsząd wyzierała okropna nędza, huczała bezustanna skarga..

A wszystko przez złoto!...

Rozgniewany, że ujrzał swoją pracę tak zeszpeconą, bóg morza rzucił swą arfę na koronę własną z taką siłą, że aż kilka okrętów na spienionych falach uderzyło o skały i roztrzaskało się na drzazgi. Spotęgowany gniewem oddech boga mórz wzburzył wody wielkie i głębokie. Wspieniły się one w okół korony i uderzyły falą straszną o jej brzegi... Napróżno!... Wówczas bóg morza chwycił oburącz słup ów wysoki, pragnąc go zwalić, dzieło swoje w głębinach zanurzyć. I to napróżno!.. Słup stał mocno i niewzruszenie, mimo wszelkich wysiłków potężnej jego dłoni. Zaledwie kilka miast od wstrząśnienia przewróciło się, zabijając tysiące ludzi. Żyjący rzucili się natychmiast na własność umarłych i nędza na ziemi stała się jeszcze większą....

Wtedy bóg morza zapłakał gorzkiemi łzami i zstąpił w głębie swego państwa, gdzie dotąd żałuje, że ozdobił swoją koronę złotem i drogiemi kamieniami. I płacze on dotąd, płacze rzewnie. Morze jękiem jego huczy iszaleje, łzy jego, perły drogocenne, na powierzchnię wyrzuca. A nie ustaje płacz jego, nie ustaje szumieć morze wspienione. Wiecznie odzywające się skargą, wiecznie burzliwe, wiecznie szumiące, wiecznie dla nas jadnakie«...

Tak bóg morza nad ludźmi płacze!

TO I OWO.

ODWIECZNE BLUSZCZE.

Dziwne nieraz, a nawet tajemnicze są zwyczaje drzew i krzewów. Słusznie tutaj możemy użyć wyrazu »zwyczaje«, nie popełniając niewłaściwości, gdyż rośliny okazują swemi czynami, że nie każda ziemia, nie każde położenie, nie wszystkie warunki im odpowiadają. Zdawałoby się naprzykład, że ziemia orna sprzyja bardzo rozwojowi korzeni; tymczasem widzimy, że roślinność chętniej niejako garnie się do starych murów, które ją karmią doskonale, dając im możność bujnego rozrostu. Drzewa wyrastają nawet w domach, rozsadzają bruki i z pod nich wystrzelają ku słońcu; wciskają się w szczeliny ruin, które z biegiem czasu otulają płaszczem zieleni, jakby chcąc je uchronić od zagłady.

Poeta grecki Homer opowiada o drzewie oliwnem Odysseusza, które pomogło Penelopie do poznania swego małżonka. Wybujało ono w pałacu króla Itaki i tak się rozrosło, że Odyssusz, urządzając komnatę małżeńską — wówczas bowiem królowie bywali i cieślami — ściął jego pień wyższy z konarami, a w części pnia dolnego wyżłobił łoże małżeńskie. Gdy wrócił z wojny trojańskiej do domu, po dziesięciu latach tułaczki, tak był zmieniony, że nawet najbliżsi poznać go nie mogli. Wówczas opowiedział Penelopie, w jaki sposób urządził wspomniane wyżej łoże. Była to tajemnica, którą tylko on i Penelopa znali. Znajomość tajemnicy przekonała Penelopę, że ma przed sobą istotnie małżonka.

Niezbyt dawno zamarł jawor, który wyrósł nad drzwiami administracyi Opery Paryskiej. Pielęgnowany troskliwie, żył dość długo, budząc podziw ogólny.

W Loebury, małej wiosce szkockiej, cały kościół spowity jest bluszczem, liczącym, według podania, 500 lat życia. Wyrósł on z pomiędzy płyt nawy, wspiął się na ściany, posuwał się coraz wyżej, aż ku dwom otworom, które umyślnie dla niego przy oknach urządzono. Wydostawszy się przez te otwory na zewnątrz, otulił płaszczem zieleni, z biegiem czasu, cały gmach. Mieszkańcy pielęgnują go bardzo troskliwie, przypisują mu cudowne pochodzenie i wierzą, że jest on talizmanem dla całej okolicy.

Również odwieczny bluszcz podziwiać można w Vissum, w Niemczech. Osnuł on także kościół, bujniej nawet i szczelniej niż jego pobratym w Loebury. Z całego gmachu, szczyt tylko się spostrzega, wystrzelający z objęć zieleni, która zasłoniła nawet okna.

Wspomnimy jeszcze o odwiecznych bluszczach, niezmiernie bujnych, osnuwających ruiny zamku Silbergau, w Niemczech północnych. Był to niegdyś zamek tak warowny, że go za niezdobyty uważano. Dziś pozostała po nim tylko baszta, zwana Wieżą Przeklętą. Oczywiście, że do tych ruin przywiązana jest legenda, którą Uhland utrwalił w prześlicznej balladzie. Oto w zamku mieszkał ongi książę z piękną małżonką, o którą był bardzo zazdrosny. Pewnego razy przybyli do zamku dwaj śpiewacy wędrowni, ojciec i syn. Popisywali się oni swoim kunsztem, a księżnę tak zachwycił śpiew młodego minstrela, że go obdarowała kosztownym pierścieniem. Widząc to, książę wpadł w gniew szalony i woczach małżonki zabił pieśniarza. Zrozpaczony ojciec przeklął mordercę, a skutki przekleństwa były straszne. Piękna księżna umarła wkrótce, cały dwór opuścił księcia, zamek zapadł się pod ziemię z wyjątkiem wieży. Książę pozostał sam w ruinach i zmarł w owej wieży, dręczony wyrzutami sumienia. Duch jego po dziś błąka się wśród starych murów, skarży się jęczy... Spostrzegłszy człowieka, chce się przed nim wyżalić, lecz słowa wymówić nie może, gdyż krew rzuca mu się z ust. Taką oto straszną legendę spowija niezwykle bujny bluszcz, rozrastający się od kilku pono już wieków.